

## KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Reforma akademii sztuk pięknych. — Broszura Ingra. — Artykuł pana Beulé. — Reforma muzeum historii naturalnej. — „Historia cywilizacji włoskiej” (Essai sur l'Histoire de la civilisation en Italie par M. Boullier). — Ostatnia opera Auher'a „La Fiancée du Roi de Garbe.” — Elektra Sofoklesa, przekład Leona Balczy. — Wiadomości literackie.

Wprowadzone przez hrabiego Nieuwerkerke reformy do akademii sztuk pięknych, rozpętały burzę, która od wydania dekretu (13 listopada) do dziś dnia grzmi jeszcze. Nieustanna polemika toczy się dotąd w tym przedmiocie pomiędzy rozsierdzoną akademią, której się zdaje, iż wraz z jej przywilejami przepadnie sztuka, a prawdziwemi téjże miłośnikami, którzyby radzi wyzwolić ją z pod zardzewiałej feruły patentowanych opiekunów.

Każdy postęp walczyć musi z uzbrojoną od stóp do głowy rutyną: to zwykła kolej rzeczy. Tą razą postęp nie tylko na jedno oderwane prawo nastaje, ale zahacza całą korporacją mozną a zazdrosną, przyuczoną do samowoli, a okopaną w swęj szkole, niby w feodálném zamczysku, nie ulegającém prawu powszechnemu.

Nie ograniczając się na polemizowaniu z nieprzyjaciółmi po przeglądach i dziennikach, akademія posłała cesarzowi *protestacyę*, którą umieścił Monitor. Jednocześnie ogłoszona odpowiedź ministra domu cesarskiego i sztuk pięknych, zbiła wszystkie argumenta akademickiego adwokata. Podrażnieniu miłości własnej, marszałek Vaillant przeciwstawił pogodne i niezłomne postanowienie zdrowego rozsądku. Konieczność reform pokazała się jasna jak słońce.

Spór w sferze administracyjnej skończony, przeniósł się na bruk paryżki; akademia appellowała do najwyższego trybunału opinii publicznej. Sekretarz dożywotni p. Beulé, ogłosił w *Revue des Deux Mondes* artykuł, w którym usiłuje dowieść niedorzeczności proponowanych reform, oraz ogromu krzywd, jakie rząd zamierza wyrządzić akademii.

Zanim poznamy ten artykuł, przejrzyjmy przywileje, których jako praw swoich dopomina się akademia.

Szkoła sztuk pięknych przedstawiała najprzód tę niewłaściwość, że za pomocą wyborów sama siebie tworzyła. Professorowie przy zamkniętych drzwiach wybierali sobie kolegów. Potwierdzenie ich wyboru przez ministra było prostą formalnością. Wada organiczna szkoły leżała w tej możliwości odradzania siebie samęj po za wszelką kontrolą; szkoła miała swoją ortodoxją artystyczną i do grona swego wpuszczała tych tylko, którzy jej się poddali. Członkowie się zmieniali, ale ciało pozostawało w nieruchomości; professorowie w 1863 roku wyobrażali też same przesady co w r. 1819, chwili swojego ostatniego urzędu: było rodzaj kasty indyjskiej, leżącej kamieniem pośród ogólnego prądu postępowej społeczności. Odpychająca wszelką nowość, uwieczniająca przestarzałe teorye, akademia podobną była do owych rodzin arystokratycznych, które obcując tylko z krewnymi i pomiędzy sobą zawierając małżeństwa, w końcu marnieją, brakiem przyływu krwi młodej.

Nauka, jaką dawała akademia sztuk pięknych, była zupełnie niedostateczna: tak w malarstwie jak w rzeźbie, ograniczała się na lekcjach rysunku. Uczniowie malować i modelować uczyli się po za szkołą, w pracowniach niektórych professorów swoich za opłatą. W szkole nauczyciele dawali tylko pierwszych początków sztuki; ażeby się nauczyć czegoś więcej, trzeba było iść za nimi do domu.

Cóżby powiedziano o uniwersytecie, w którymby professorowie z katedry uczyli tylko przepisów syntaxy, a naukę układu i stylu zachowywali sobie na lekcye prywatne?

Akademia tak czyniła: była też szkołą nie nie uczącą.

Wyuczeni po za szkołą, ale przez jój członków, uczniowie przybywali do niej na konkurs przesiąkli duchem ciasnym, zabraniającym wszelkiej śmiałości, krepującym każdy wyskok rodzącego się talentu, narzucającym wszelkiej zdolności jeden i tenże sam niski poziom stylu scholastycznego.

Pośród społeczności, która odnowiła świat, szkoła pozostawała jeszcze w swój starożytności sztucznej z ideałem naśladownictwa. Podczas kiedy ludzkość biegnie z szybkością pary, rekrutując codziennie to nowe hufce robotników postępu, ona jeszcze nie rozpuściła wysłużonych Greków Dawida i Trojanów Guérin'a.

Uczeń pragnący wziąć udział w konkursie, musiał starannie ukrywać wszelką oryginalność osobistą; im niewolniczej naśladował nauczycieli, tém pewniejszego mógł się spodziewać powodzenia, gdyż nauczyciele byli zarazem jego sędziami. Professorowie przedzierżnięci w przysięgłych, otwierali drzwi Rzymu swoim wyznawcom, a zamykali je przed odszczepieńcami.

Dekret 13 listopada nagle przeistoczył z gruntu tę spróchniałą budowę. Dość wymienić objęte nim reformy, ażeby czytelnik ocenił ich wartość.

Konkurs o wielkie nagrody zachowany dotąd dla samych wychowañców szkoły, jest otwarty dla wszystkich młodych artystów.

Konkurujący będą sądzeni przez sędziów przysięgłych, nie przez wyłączną koteryą.

Mianowanie przez ministra, dyrektora czasowego, poddaje szkołę prawu powszechnemu. Odejmując jój władzę mianowania swoich professorów, dekret w miejsce oligarchii samowolnej, stawia władzę wolną od sekciarstwa i rachującą się z opinią publiczną. W przedmiocie sztuki państwo nie ma systemu; będzie więc wybierało nauczycieli, których wskaże wybór powszechny: tym sposobem błędy, jakie popełnić może, nie będą wieczne; wszystkie smaki i wszystkie doktryny zasiadą w radzie wyobrażającej wybór opinii w przedmiocie sztuki.

Tak wolnomyślne rękojmie rozszerzą koniecznie nauczanie. Rzeczywiste konkursy zastąpią dawne, wrzeczome. Nauka historyi rozwinie intelligencyą uczniów

ograniczoną teraz do kilku legend starożytnych; nada im wiedzę powszechną, bez której artysta jest tylko mniej więcej zręcznym rzemieślnikiem. Historya sztuki smak ich wykształci a umysł wyswobodzi, oprowadzając go po rozmaitych szkołach. Archeologia, którą zaledwie widzieli zdaleka, wprowadzi ich w rzeczywistość przeszłości. Zaprowadzenie w szkole pracowni malarskich, rzeźbiarskich i sztycharskich, zapełni wyż wspomnianą próżnię.

Nie na tém koniec.

Szkoła nauczała jakiejś idealnej architektury; uczniowie tracili czas na rysowaniu budynków urojonych, nie będących w styczności z obyczajami i potrzebami dnia dzisiejszego. Uczono ich budować w powietrzu; nie mieli żadnego pojęcia o praktyce. Dekret zapełnia i tę szczyrbę. Kursa geometryi, chemii, geologii, administracyi i budownictwa praktycznego dadzą młodym architektom wykształcenie praktyczne, bez którego umieli rysować na papierze plany Forum i Panteony, a nie umieli wybudować prostej chałupy.

Takie są główne punkta dekretu 13 listopada. Rząd cesarza Napoleona w dniu jednym spełnił ulepszenia, których się domagano przez lat sześćdziesiąt; jedném pociągnięciem pióra przeciął nadużycia zakorzenione w twardém cieple; jestto dla sztuki postępowe *Coup d'Etat*.

Na czele liczного zastępu przeciwników reformy stanął pan Ingres, malarz, senator i rozpoczął bój olimpijską broszurą.

Francuzi mówią o zbyt gorliwych monarchistach, iż są „*plus royaliste que le roi*”; o Ingrze powiedziebby można, iż jest więcej Rafaelowski, niż sam Rafael. Wielki artysta, którego cały żywot był nieustanném przeobrażeniem, dla Ingra jest niezmiennym dogmatem sztuki. Biada temu, kto się przeciw niemu buntuje.

W romantyzmie Ingres upatruje jakąś apokaliptyczną bestyą siedmiogłówną, którą nie dobrze rozeznaje, ale której się lęka okrutnie! Kolor, realizm, nowoczesna literatura i sztuka przemysłowa wchodzą w skład téj urojonej potwory, którą Ingres „plagą Francyi” zowie. Zdaniem jego „rysunek jest całą sztuką; materyalnego sposobu malowania nauczyć się można w tydzień”.

Jestto teoria klasztorna góry Athos, gdzie mnisi od tysiąca pięciuset lat fabrykują odbicia malatur bizantyńskich za pomocą nieomylnéj recepty. W tym przybytku tradycyi artysta kalkuje i koloruje świętą osobę, podobnie jak bóbr dom swój stawia, albo ptak gniazdo lepi.

Możnaby długo szydzić, bo przedmiot się nadaje, ale poszanowanie dla sędziwego ministra wstrzymuje nas od nicowania jego teorii. Zresztą, cóż odpowiadać na twierdzenia bez dowodów? Ingres zowie szkołę sztuk pięknych „Świątynią Apollina”. Apollo był bogiem wyroczni; ich téż językiem Ingres broni akademii. Nietylko wyroki wydaje, ale wygłasza dogmata pontyfikalnie. Rzecz widoczna, że dla niego sztuka jest religią, nie doskonalszą, ale niezmienną, zatrzymaną w pewnéj epoce, której on mniema się być nieomylnym naczelnikiem. Któżby się ważył wbrew papieżowi dyskutować kwestye wiary lub obrzędu?

Z panem Beulé, sekretarzem dożywotnim akademii łatwiejsza sprawa. Gdyby zarozumiałość pisarza o wartości jego stanowiła, natenczas wypadłoby uderzyć czołem przed jego sławnym artykułem, ogłoszonym w *Revue des Deux Mondes*. Najwyższa sława nie zdołałaby usprawiedliwić tonu, w jakim przemawia.

Tymczasem, p. Beulé nie jest żadną znakomitością: właściwie nazwaćby go można dorobkowiczem erudycyi. Rozpoczął karierę odkopaniem w Atenach paru schodów, które zawiodły go daleko.... Książka o Akropolis, miernéj wartości naukowej a nadzwyczajnéj oschłości; dramat p. t. „*Fidyasz*” naśladowanie Dyalogów Platona; *Studia rzeźby greckiej* strasznie zapyłone—oto cała zasługa literacka pana Beulé członka Instytutu i dożywotniego sekretarza akademii.

W charakterze tego ostatniego dostojnika, wygłosił niedawno pochwałę Horacego Verneta, która jest wzorem napuszystéj frazesologii. Pan Beulé podobnie jak archeologiem, mógłby być inżynierem: w pismach jego nie znać żadnego zamiłowania rzeczy, któremi się zajmuje. Rozprawia językiem umarłym o nieśmiertelnéj sztuce; gada o niéj wiele, i niezgorzej, ale bez żadnéj oryginalności, i na zi-

mno. Znać że do Grecyi starożytnéj wszedł, jakby wszedł do administracyi szkoły dróg i mostów.

Chłód ten czuć nawet w artykule, w którym pan Beulé widocznie zapalić się pragnął. Fałszywa napuszystość adwokata akademii, odstręczała tych nawet, co z nią trzymać byli gotowi.

Mając bronić szkoły sztuk pięknych, pan Beulé przenosi się do szkoły rzymskiej, przez nikogo nie zaatakowanej: umyślnie wprowadza zamęt do rozprawy, żeby ją mniej zrozumiała uczynić. Dekret zdaniem jego, obala francuską szkołę rzymską. Sztuczna to ruina, wynaleziona *ad hoc*, służy mu zarazem za piedestał i warownią; stawia go jako obrońcę wielkiej sztuki: dawną jej sławą pokrywa drobne interesa, których broni.

Pierwsza część téj mówki pogrzebowej, wyrzeczonej nad próżnym grobem, poświęcona jest sławieniu szkoły rzymskiej i wywoływaniu jej cieniów, inaczej bowiem uczniów rzymskich nazwać nie można.

Na czterdzieści dziewięć wielkich nagród do rozdania od 1801 do 1850 roku. pan Beulé z wielką pracą i pobłażaniem rachując, wymienił dwadzieścia pięć rozdanych. Na dziewięciu sięgających po laury pejzażystów, mógł tylko wymienić jednego. Pomiedzy rzeźbiarzami znalazł dwudziestu wybranych, na trzydziestu trzech wybieralnych. Na trzydziestu pięciu sztycharzy, wymienił siedmiu, a ośmnastu architektów na pięćdziesięciu jeden konkursistów.

Najlepszą odpowiedzią na to wyliczenie sztucznych znakomitości szkoły rzymskiej, jest przeciwstawienie spisu wielkich artystów społecznych, którzy z niej *nie wyszli*: Gros, Prudhon, Géricault, Delacroix, Decamps, Ary Scheffer, Horacy Vernet, Delaroche, Chassériau, Robert Fleury, Diaz, Roqueplan, Meissonnier, Aligny, Corat, Rousseau, Duprè... Wymieniam tylko nazwiska na pierwszy apel nasuwające się pamięci. Spis zupełny, wykazałby ogromną wyższość szkoły swobodnie ukształconej w walkach, nad szkołą wyniańczoną w Rzymie przez tradycyą.

Od panegiryku Beulé przechodzi do polemiki. Napastuje najprzód sąd przysięgłych mający zastąpić na kon-

kursach sądy akademickie: usiłuje zwalić najmędrze rozporządzenie dekretu, twierdząc że po za pseudo-greckim i pseudo-rzymskim stylem, który akademia przyjęła, jest tylko potworność.

Dekret cofa do lat dwudziestu pięciu granicę wieku kandydatów do wielkich konkursów. Pan Beulé utrzymuje, iż to zastrzeżenie zuboży szkołę rzymską. Prawdopodobnie pokrzepi ją, odmładzając jej kardy i usuwając kandydatów niezdolnych. Artysta, który w dwudziestu pięciu latach nie okazał talentu, nie będzie go miał nigdy. Przy pamięci i pracy, będzie mógł wykonać jaką nie złą kopią, ale żywego dzieła nie stworzy.

Dekret ubożący szkołę rzymską, zdaniem pana Beulé, rujnuje, odziera szkołę sztuk pięknych. Kilka osób zapisało akademii summy przynoszące jej rocznie do trzech tysięcy franków, z poleceniem rozdania takowych pomiędzy ubogich uczniów, otrzymujących pierwsze nagrody. Zapisy te teraz chybiają przeznaczenia. Sekretarz dożywotni żałośnie woła: akademia traci swoje dochody a młodzież zasiłek! Gdyby miał opisywać splądrowanie świątyni przez Heliodora, tragiczniejszym nie ozwałby się tonem. Ale kogóż wzruszą te jęki. Marszałek Vaillant odpowiadając akademii, oświadczył, że kierunek sztuk we Francyi nie może być tamowany okresami testamentów; trzy tysiące dochodu okupione bezwładnością, jest za drogiem dobrodziejstwem. Przyjmując je, sztuka zawarłaby ugodę Ezawa: za drobny dochodzik, sprzedałaby swoje prawa do postępu.

Dekret z pięciu redukuje do dwóch lat obowiązkowy pobyt w Rzymie. Artyści, którzy otrzymają wielką nagrodę, będą mogli trzy lata poświęcić, wedle upodobania, podróżom naukowym.

Rozporządzenie powyższe jest rzeczywistą emancypacją. Skrócić zbyt długi pobyt w szkole, jestto przyspieszyć dojrzałość talentu.

Zdawałoby się, że zdolnemu młodzieńcowi nader łatwo tworzyć piękne dzieła w pałacu pełnym posągów i cienia, zbudowanym na Monte Pincio, niby obserwatorium odwiecznego miasta, żyjąc pod pięknym niebem

wśród przecudnego szczepu, wolnym od powszednich kłopotów. Rzym dostarcza uczniom najwspanialszych zwalisk historycznych, najpiękniejszych malowideł i najprzedniejszą wybór posągów starożytnych.

Prawda. A jednak nie rzadszego, jak świetne dzieło przybywające z Rzymu. Zazwyczaj talenta tam usychają, jakby owiane duchową malarią.

Zkąd ten wpływ fatalny? Z ducha miejscowości: z ucisku mistrzów i służebności, jaką budzą w zbyt długo w ich chwałę zapatrzonych artystach; z tego steku arcydzieł, od których każda kopia będzie słabsza, a w nieudolnej ręce tak łatwo z olbrzyma w karła przejdzie.

Rzym jest klasztorem, wprawdzie obszerniejszym od innych, ale zawsze klasztorem. Przez pięć lat spędzonych w jego cieniu, może zardzewieć najsilniejszy talent. Uczniowie zamknięci w willi, żyją tylko z sobą, pyszni z scholastycznych wawrzynów a pogardzający nowymi pojęciami: ich płótna i gipsy, są okopem odcinającym ich od reszty żyjącego świata. Tracą z oczu swoją epokę i swój kraj, stają się zakonnikami Monte-Pincio. Skoro po długim wygnaniu powracają do Francji, jeżeli nie są nadzwyczajnie silni, już nie mogą dognać prądu, który upłynął podczas ich nieobecności. Z palm ich rozwiną się zwiedłe kwiaty, znajdą się obcymi w ruchu, którego nie rozumieją: rzekłbyś mnisi powracający do świata.

Skrócając pobyt uczniów w Rzymie, dekret oddaje im wielką przysługę: co nadto, to nie zdrowo.

Przez następujące trzy lata mogą bujać po całym świecie i powołanie swoje kształcić dowolnie. Na tę swobodę daną uczniom, pan Beulé mocno się żżyma. Słyszając jak się oburza, sądzisz, iż rząd zburzył willę Medyceuszów i owies na niej sieje... Tradycje i godność przepadła! przepadło braterstwo! Sztuka zagrożona! Na nie-szczęście, dziwnie jej broni sekretarz dożywotni: „Grecja, Konstantynopol, Jeruzalem, Hiszpania, Afryka, powiada, wzywać będą przyszłych pensjonarzy: jakżeżby tam nie pośpieszyli z zapalem. Ale przez ten czas w co się obróci sztuka malowania? Czy w oberży znajdzie się pracownia? Czy rzeźbiarz będzie wozził ze sobą słup marmuru, a sztycharz miedziane blachy? Najrozsądniejsi osię-

dą w inną jakąś stolicę. Przyznajcie, że warto opuścić Rzym, żeby osiąść w Londynie lub Berlinie”

Cóż odpowiedzieć na pytanie, czy artysta znajdzie pracownię w karczmie? Ależ, nawet nie pod dachem, lecz pod namiotem rozbitym w marokańskiej pustyni, Eugénus Delacroix rysował niezliczone szkice, które wypełniły większą część jego obrazów. Decamps w karawanseraju Azji Mniejszej, kreślił swoje wschodnie poematy. Na łodzi płynącej po Nilu, Marilhat przysposabiał płótna odzwierciadlające tak cudnie słoneczny Egipt. Gdyby ci trzej artyści przesiedzieli internowani w Rzymie, lata swą najbujniejszą młodości, zamiast malowniczego Wschodu, który pokazali Europie, zostawiliby pewnie, kilka bladych kopii Dominiquina lub Rafaela.

Pan Beulé, jako strony szkodliwe sztuce, wskazuje kraje najpiękniejsze na świecie.... kraje, gdzie ród ludzki zachował pierwotną powagę; gdzie natura dobiega do wielkości, jakiej nie dosięga nigdzie; zkąd, jakby karawana obładowana skarbami, powrócili francuzcy pejzażyści.

Chociażby tak nie było, niepotrzebnie się obawiać dalekich podróży: Europa uczniom akademii wystarczy. Każdy uda się tam gdzie go instynkt powoła, bo talenta mają swoją ojczyznę, równie jak ciała. Ci, których kolor wabi, pojedą do Wenecyi, lub do Rubensowego ogniska. Ci, którzy charakter nad styl przekładają, co wolą naśladowanie energiczne rzeczywistości nad poszukiwanie ideału, pojedą do Madrytu lub do Amsterdamu, uczyć się od Rembrandta i Valasquez'a. Większość, nie opuści Italii tak rozmaitej w swą majestatyczną jedność. Zwiedziwszy Rzym, zatrzymają się, wedle temperamentu, jedni we Florencyi, inni w Pizie, w Medyolanie lub w Siennie. Tylko Bolonii strzedz się powinni: była to szkoła sztuk pięknych epoki odrodzenia. Tam ono przepadło zaduszone w professorskich pracowniach.

Rzeźbiarze pozostaną w Rzymie, bo to jest stolica ich sztuki. Porzucić go mogą tylko na chwilę, dla studyowania bronzów neapolitańskiego muzeum. Materiału do pracy im nie braknie: tyleż znajdą marmuru na Pausilipie ile na Monte-Pincio.

Wytknęliśmy wszystko, co wydało nam się niedorzeczne w elukubracjach nie przyjmującej reform akademii. Opozycją tak słabo i fałszywie się broniącą, z góry za zwyciężoną uważać należy. Dotąd jeszcze ta kwestya pomiędzy żywotnemi mocno hałasuje; burza jeszcze grzmi w najlepsze. Ale burza to płodna, która po sobie użyźnione pole zostawi. Akademia sztuk pięknych niechybnie rzeczywiście swe dobro zrozumie, i odłączy swą sprawę od sprawy sekciarzy. Cóżkolwiekby, mimo krzyków i protestacyi, dekret tak potężnie pomagający do rozwoju sztuk pięknych, spełnionym będzie, i zostanie w przyszłości jako jeden promień więcej w aureoli chwały Napoleona IIIgo.

Nastąpi także wkrótce reorganizacya Muzeum historyi naturalnej, które oddawna nie odpowiada już potrzebom swojego czasu.

*Monitor* ogłasza raport ministra oświecenia, zwracający uwagę cesarza na niedostatki administracyi tegoż muzeum i podający poprawki.

Minister proponuje: 1<sup>sz</sup>e mianowanie dyrektora, nie rocznego, co jest zbyt krótką władzą do przeprowadzenia wszelkiego ulepszenia; nie dożywotnego, bo zależy na tém, żeby muzeum nie pozostawało przez ciąg życia człowieka, pod jednym i tymże samym wpływem naukowym; ale pięcioletniego, wybranego przez cesarza z pomiędzy trzech przez zgromadzenie przedstawiczych kandydatów.

2<sup>re</sup> Poddanie pod zatwierdzenie władzy centralnej obrad zgromadzenia, nie na to żeby dać ministrowi prawo drobiazgowego nadzoru, ale na to, żeby w każdym ważniejszym razie mógł, w imieniu interesu publicznego, którego jest wyobrazicielem, stanowić w naradach zgromadzenia.

3<sup>cie</sup> Wprowadzenie mianowanego przez ministra rachmistrza do zarządu ekonomicznego; do nadzoru zaś téż rachunkowości, oraz jéj rocznych sprawozdań we wszystkich gałęziach muzeum, komissyi, w której skład wchodziłiby członkowie rady stanu, izby obrachunkowej i ministerjum finansów.

Nie ulega wątpliwości, że powyższe główne reformy, oraz wiele drobnych które raport ministra zawiera, zosta-

ną potwierdzone przez cesarza, z jego bowiem natchnienia wejrzano bliżej w skład instytucyi, będącej dzisiaj niepożytecznym ogółowi majoratem naukowym.

August Boullier wydał pierwszą część dość poważnego dzieła pod tytułem: „*Essai sur l'Histoire de la civilisation en Italie*”.

Na wstępie pan Boullier dowodzi, że oświata włoska zaledwie dotknęta inwazyą, nie wzięła od Germanów nic: ani obyczajów, ani wyobrażeń, ani sztuki, ani języka; że cała wychodzi ze starożytnego gruntu, odnowionego chrześcjanizmem. Przytém autor zwraca uwagę, że oświata włoska nigdy nie szerzyła się za pomocą zbrojnej propagandy. Ogromny jej wpływ na Europę, był zawsze duchowy, moralny i pokojowy; a wpływ to tém chwalebniejszy, że wywierały go ludy słabe na ludy mocniejsze, podobnie jak Grecy w starożytności.

Ta przewaga tradycyi starożytnych w cywilizacyi włoskiej, uwydatnia się, od wieków średnich począwszy, w różnicy znaczenia miast i wiosek.

We Francyi i w Anglii szlachta długo panowała i rządziła wyłącznie. Wiele miast utworzonych po inwazyi, pokornie ugrupowały się u stóp pańskiego zamku lub opactwa; miasta były poddanemi i nie miały żadnej władzy: pan był wszystkim.

We Włoszech przeciwnie: miasta prawie bez wyjątku starożytnego pochodzenia, liczniejsze i ważniejsze niż gdziekolwiekby, rychło nad wsiami górę wzięły; municypalności zaledwie wydobywszy się z zamętu, pochłonęły feodalność. Było tam szlachty więcej niż gdzieindziej, bo wyszła nie tylko z podboju, ale z każdego rodzaju zawichrzenia; każdy szczęśliwy condottiere, każdy podesta zostawiał swoją dynastyą; ale chociaż było szlachty wiele, rzeczywiste szlachectwo nie istniało.

Organizacya feodalna była słaba: nie miała nigdy węzłów hierarchicznych, ani zasad ogólnych potrzebnych do sklejenia wszystkich stronnictw tego wielkiego ciała bez duszy. Dla nadania sobie powagi, szlachciec musiał podszywać się pod mieszczaństwo, to jest wypierać się

swój kasty. We Florencyi szlachta ustawicznie mieszała się z mieszczanami; w Wenecyi patrycyusze trudnili się handlem i tyle tylko znaczyli, o ile brali udział w interesach rzeczypośpolitej.

Daléj pan Boullier mówi o zabiegach i rządach owéj demokracji, którój wpływ był tak przeważny, zanim ją zbyt wielka ambicya zabiła podżegając do wojen z prze-możnymi sąsiady.

W tych ciągłych starciach ludność włoska nabyła pewnéj niepodległości; nauczyła się rządzić sama: stała się światłą, bogatą, bardzo przemysłową, ale zarazem bardzo burzliwą. Z tego stanu rzeczy wyszła oświata nagła i świetna, która miała tyle ognisk, ile miast było kwitnących wszechstronnie na italskim półwyspie. Ztąd owe arcydzieła pędzla i dłuta, i ta nieśmiertelna falanga pisarzy stanowiących chwałę Italii.

Wszystkie klasy naówczas kolejno dochodziły do władzy: światło przenikło najniższe warstwy społeczne i uwypakniło istniejące tam talenta.

Boullier przedstawia dobre i złe strony demokracji: wykazuje jéj płodność, ale zarazem i tyranstwo będące cechą Włoch rozdrobnionych na małe państewka. Czy owe oligarchie zwały się jeszcze rzeczypośpolitemi, czy téż urządziły się jako księstwa, rządziły tylko siłą. Sroga tyrania wynikła z częstych rewolucyj: powodzenie usprawiedliwiała wszelakie zbrodnie. Moralność polityczna wraz z poczuciem obowiązku opuściła sumienia; zawisła i ciągnęła walka, trzymały miasta monarsze w konieczném odosobnieniu: tylko potężny i natychmiastowy interes łączył je czasami na chwilę. Chwała starego Rzymu ciążyła na nich okropnie. Drobne rządy małość swoją zasłaniały wielkimi tytułami: w najmniejszój mieścinie byli senatorowie i konsulowie. Wszystkim się zdawało, że czasy Brutusa i Pompejusza nie przeminęły. „Italia chciała mieć dwóch panów: cesarza i papieża, żeby nie słuchać żadnego,” powiada kronikarz z X-go wieku. W końcu była gotowa słuchać jednego, ale już było za-późno.

Sądźmy, iż pan Boullier myli się utrzymując, że lud sprowadził do Włoch cesarzy niemieckich: sami papieże

zawezwali ich interwencyi celem pobijania książąt włoskich, którzy stawili zaporę szerzeniu władzy papieżkiej. Toż wiadomo, że Stefan wezwał Pepln'a w 754 r.; że Adryan zaklinał Karlomana, żeby mu przyszedł na pomoc (773); że Agapet i Jan XII wzywali kolejno Ottona w 950 i 962 roku: że wreszcie, jeżeli teraz wojska francuzkie stoją w Rzymie, to nie zwoli rzymskiego ludu, ale z woli Piusa IX.

Pominąwszy zbyt wielką może względność autora dla papieżów, pogląd jego jest bystry: dzieło wynikło wi docznie, z mnogich i sumiennych poszukiwań. Znajdujemy w niem znakomitą ocenę społeczności rzymskiej w chwili inwazyi Germanów, oraz podboju Longobardów. Boullier mówi nie mniej uczenie o Ojcach kościoła, koncyljach i całej hierarchii duchownej. Dalej rozbiera prawodawstwo rzymskie i kodex barbarzyńców: przebiega kodex Justyniana, Juliana i Teodozyusza; następnie kodex Teodoryka, rozmaite ustawy Germanów, i porównywa takowe z rzymskiemi.

Obyczaje tych ludów tak różnych są opisane niepospolicie. Starożytna oświata rzymska zestawiona z tegoczesną cywilizacją Italii, przedstawia podobieństwa i sprzeczności bardzo ciekawe i nauczające.

Drugi tom *Historyi cywilizacyi włoskiej*, stanowiący koniec pierwszej części dzieła, zawiera pogląd na piśmiennictwo.

Język łaciński był językiem bogów. Na widok barbarzyńców, nieśmiertelni bogowie uszli z Italii, unosząc z ziemskiego mieszkania wszystkie narzędzia wyrażania swych myśli. Piśmiennictwo piękne przepadło. Język dawny nie przypadł do wzrostu nowych zdobywców. Stała się niezmierna próżnia w społeczności pogańskiej. Wśród zamętu rozpacz i grubych ciemności, dusza tej społeczności szukała siebie sama; znalazłszy się zeszeconą fizycznie i moralnie, skamieniała z przerażenia, i nie mogła ani cofnąć się, ani naprzód postąpić.

Taka była postawa piśmiennictwa starożytnego podczas jego przeobrażenia. Skoro ludzie wykształceni ujrżeli się wśród zgłiszczów, zasypani gruzami uczonych posągów, sami zmienili się w posągi, i wśród grobowego

milczenia, słyhać tylko było grzmot walących się miast i trzask niszczącego płomienia.

Po tém gwałtowném rozkruszeniu cesarstwa i społeczności, ciemność zawisła nad rzymskim światem i pochłonięła go na zawsze: dzicz zajęła jego miejsce.

Podczas długiego snu oświaty, dokonywała się przez długie wieki ciemnoty i zbydlęcenia, praca powolna ukryta w umysłach. Tam nowe pojęcia się kształtowały i rozwijały coraz więcej, aż wybuchły na zewnątrz z siłą nadzwyczajną w nieznanym przedtem języku. W owęj to chwili Dante ukazał się zdumionemu światu. Jego przyjskie jest zarazem urodzinami włoskiego języka, połączeniem i wskrzeszeniem pociętych członków wielkiej włoskiej rodziny.

Szkoda, że autor tak pięknie o wskrzeszeniu téj rodziny rozumujący, zupełnego jęj zjednoczenia nie pragnie. „Francya, powiada, oswobodzi Włochy od Alp do Adryatyku. Ale wtedy my, w zamian za niepodległość, będziemy mieli prawo żądać od Italii, ażeby się urządziła na podstawach najmniej przeciwnych interesom Francyi. Po tém co zaszło, nie może już być mowy o federacyi. Ale możnaby podzielić Włochy na dwa królestwa, któreby się wspólnie równoważyły: jednoby miało za stolicę Medyolan, drugie Neapol; pomiędzy niemi małe państewko papieskie mogłoby się pomieścić z Rzymem za stolicę”.

Nie podejmujemy się godzić sprzeczności takiej konkluzyi z resztą poglądu; powiemy tylko, że takie rozwiązanie wydaje nam się nie możebne, bo równowaga zerwanaby została nazajutrz po przyłączeniu się papieństwa do północnego lub południowego królestwa. Nadto, możnaby spytać autora, w czém Italia podzielona, była kiedy pożyteczną Francyi? Czy za Ludwika Świętego? czy za Filipa Pięknego, Ludwika XIgo, Karola VIIIgo, Ludwika XIIgo, Franciszka Igo, Henryka IVgo, Ludwika XIVgo; czy za Napoleona była jęj sprzymierzeńcem? Czyż nie znane krwawe porażki, których tam Francya wielokrotnie doznała, i ofiary jakie skutkiem ich poniosła? Czyż nie wiadomo, że drobni monarchowie półwyspu, a mianowicie papieże, zawsze przeciwko Francyi się obracali?

Podział Włoch nie jest więc zabezpieczeniem Francji; historia aż nadto tego dowodzi: jedynym sprzymierzeńcem szczerym, bo jedno plemiennym i jedną myślą ożywionym, byłyby *Zjednoczone Włochy dla bezinteresownej Francji*.

Ostatnia opera Aubera „*La Francée du roi de Garbe*”, znowu za Alpy nas przenosi. Libretto téj sztuki wyjął ś. p. Scribe z *Dekameronu* Boccaccia. Dość wymienić to nazwisko, ażeby czytelnik poczuł smak wątku, na którym haftował Auber. Rozwiązły Florenczyk zuchwałéj niż Don Juan urągał śmierci. Poeci epiczni gnieździli czasem ptaka Wenery w rycerskim hełmie; śmielszy od nich Boccaccio, ptakowi miłości każe śpiewać w trupiéj głowie.

Wiadomo kiedy pisał sławnego *Dekameronu*. W chwili przedświtu zorzy odrodzenia, roku Pańskiego 1318, czar-na zaraza dziesiątkowała czarowną Florencyą. *Mający umrzeć* gromadzili się na publicznych placach i processjonalnie szli *sami* na miejsce wiecznego odpoczynku: śmiertelnie chory książdz, na czele idąc, nad nimi i nad sobą śpiewał *dies irae*. Z cmentarza żaden takt kondukt nie wracał. Tak *ostatki* swoje we Włoszech obchodziły wieki średnie.

Podczas téj straszliwéj śmiertelności i żałoby powszechnej, siedm młodych dam i trzech kawalerów spotkawszy się we florenckim kościele Santa-Maria Novella, postanowili uciec razem z zarażonego grodu. Jedna z dam ofiarowała swoją willę i do niéj podążyło wesołe grono ucztować w obec niechybnéj śmierci. Tańce, hulanka, swawola, brzmiały w willi, podczas kiedy z daleka dolatywał odgłos dzwonu konających... Zefir oprószaający srebrne kwiaty pomarańcz, był może zatruty oddechem ziejącéj w około zarazy, ale nikt nie dbał o to. Wieczorkiem o chłodzie, goście willi Pampinea zasiadali na murawie i opowiadali sobie kolejno miłosne przygody. Przez dni dziesięć opowiedzieli takich bajek sto.

W takich czasach, z takich powieści, złożył swego *Dekameronu* Boccaccio.

Geniusz odrodzenia ocknął się podobnie jak zasnął geniusz pogański, urągając śmierci. Rzecz godna uwagi, że we wszystkich *sądnych dniach* historii, niby miłosierdzie nad skazanymi, rodzi się w ludziach jakieś niedbalstwo o dziś i jutro: śpiewają chórem piosnkę Gennara z *Lukrecyi Borgia*.

*Dekameron* jest satyrą społeczności mrącej, czytana głośno obok jej śmiertelnego łoża. Nikt nie ujął się za nieboszką! Skoro wypełnią się czasy, lat kilkanaście wystarcza do odwrócenia w umysłach wiekowego prądu. Pół wieku dzieli zaledwie *Dekameron* od *Boskiej komedyi*, a przechodząc z jednej do drugiej księgi, zda ci się, że z północnego na południowy biegun się przenosisz. Antypodą stu pieśni Danta, są sto powieści Boccaccia. Poeta przepełniony miłością i nienawiścią, rodzinne miasto przenosi aż na tamten świat, czyniąc zeń jakąś piekielną i niebiańską Florencję. Bazarz pieje swe bajki po całym globie i zakłada urojoną stolicę *Cospopolis*, która zastępując Rzym idealny, przez długie wieki była stolicą moralną niedbałej Italii. Średniowieczne namiętności, które Dante w piekle jeszcze przedłużył, w *Dekameronie* prawie nie istnieją: wieki średnie, czarne jak węgiel w *Boskiej komedyi*, w *Dekameronie* roją się jak pstre motyle. Boccaccio równie na politykę jak na religię obojętny, lekko wyszydza fałsze, stylem Liviusza opowiadając plotki florenckie uwiązane w dziesięć dziesiątek.

Bajka pod tytułem „*Narzeczona króla Garby*”, na scenie opery komicznej występuje w skurczu. Treść taka: urojony król Garby Babolin I, posyła swojego siostrzeńca Alvara do Egiptu z poleceniem poślubienia tamże w jego imieniu, córki egipskiego Sudana, boskiej Alaciel. Jako podarek ślubny, każe oddać narzeczonej sznur pereł *zaczarowany*. Pereły te czulsze od sensitiwy, znikają po jednej, za każdym pocałunkiem rozpusty. Jest ich trzynastcie. Babolin tedy będzie mógł porachować na palcach, ile razy mu się oblubienica przemieszczała.

Karawana wylądowuje w Alexandryi, gdzie Alvar poślubia zakwefioną córkę Sudana. Skoro pani podnosi zasłonę, poseł czuje się oczarowany ognistemi oczyma wdziękini... Cóż począć? Trzeba ją wieść wujowi. Odjeż-

dżają więc; ale w drodze mnóstwo przygód się zdarza: pocałunki padają gradem...

Na szczęście Alacieli, Figarina golibródka jój małżonka, zbiera te wszystkie całusy: z czarownego naszyjnika, który szyi królewskiej oblubienicy nie opuścił, zostało już tylko dwie perły, a i te w jakichś dwóch niespodzianych przygodach znikają.

Na widok ogołoconego sznurka, Babolin chce księżniczkę odesłać ojcu, ale mu Figarina doradza, żeby ją lepiej podarował niegodziwemu Alvarowi. Tak też czyni król Babolin, szydząc pocichu z siostrzeńca, sam zaś tryumfalnie prowadzi do ołtarza Figarinę, trzynasto perłową dziewicę...

Rzecz sama w sobie mniej niż błaha, nadaje się do pięknej wystawy, oraz dostarcza kanwy muzykowi. Auber zużytkował ją po swojemu.

Uwertura bardzo ładna, jest szkicem partycyi rozpoczynającej się żywą aryetką Figariny „*Je suis la barbière*”. Dalej zauważaliśmy romanse Alvara „*Tout bas je puis te dire*” pełną miłosnego zapału. Finalny kwartet tego aktu błyszczy jak dobrze oszlifowany dyament.

W drugim akcie jest tylko piękne *nocturno* i tercet odbijający na tle orkiestry, jak klejnot na czarnym aksamicie.

Trzeci akt równie bogaty jak pierwszy: prześliczna piosenka Figariny słuchaczom wynagradza zupełnie pogubione przez nią perły.

Ostatecznie, w tym utworze Aubera nie widzimy wcale osłabienia znanej werwy autora *Niemiej z Portici*. Zwykle jego zalety, jasność i elegancją, widać tu dostatecznie, żeby odrazu poznać było można mistrza francuzkiego, który chociaż z górą ośmdziesiąt lat liczy, jeszcze daleko młodszy od wszystkich młodych.

---

Czciciele marmurowej muzy posągowego Sofoklesa, z radością oglądają w *Odeonie* „*Elektrę*” przełożoną na język francuzki przez Leona Halevy.

Poetyczna starożytność nie ma wyższej figury nad bładą *Elektrę* z wielkiem sercem, cechującym niewiasty

pół-barbarzyńskich szczepów. Starożytne prawo odwetu kryje się tu pod niezłomną cnotą spartańskiej dziewczicy.

Dopóki zabójstwo Agamemnona nie zostanie okupione śmiercią jego morderców, dopóty Elektra, jego córka, nie przestanie pokutować i pomstować w przedsionkach myseńskiego zamku, niby widmo zmarłego domagające się sprawiedliwości. Jęk ją poprzedza na scenie; zanim ją ujrzą, widocznie głos jej słyszą i po głosie poznają, niby grobowego ptaka. „O! ja nieszczęsna!” woła, w pałacowym wnętrzu. Innego wyrazu nie ma ani w duszy ani w obliczu: nieruchoma maska tragiczna wydaje się jej twarzą. Wszedłszy, wzywa najprzód światła, owego światła, które krąży we wszystkich tragediach Sofoklesa, jako ich naturalna atmosfera, a które nadaje scenom podobieństwo do grobowcowej płaskorzeźby, rysującej się na błękitie dnia pogodnego.

„O! światłości czysta! rozpostarta równo na powierzchni ziemi, ileż razy słyszałaś lamenta, które płyną z mojej rozdartej piersi, skoro przeminą nocne cienie!” Poważna i piękna jak *Noc* Michała Anioła, Elektra przypomina sobie ojca ugodzonego śmiertelnie przez Egistesa i Klytemnestrę: jego porównywa do świętego dębu, siebie do słowika, który utracił pisklęta. Następnie wzywa bogów piekielnych, którzy tak długo nie przysyłają jej na pomoc brata Orestes’a.

Wielkość Elektry leży w tej uporczywej wierze i niezłomnym oczekiwaniu sprawiedliwości, które tak wysoko stawia człowieka. Wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, ma nadzieję; nie widzi nikogo przybywającego z pomocą, a jednak ciągle wygląda. Aż dopóki nie wysłuchają jej bogowie, zanosi do nich nieustanną skargę i pomsty woła za krew wylaną. Życzliwe chóry daremnie uspokoić ją usiłują. „Szaleń! woła, możnaż zapomnieć nagłej śmierci ojca, możnaż zapomnieć katuszy wymordowanych? O! Niobe! coś tyle wycierpiała! Ty jesteś bóstwem mojem, ty, która w swym kamiennym grobie ciągle płaczesz!”

I dla usprawiedliwienia nieubłaganej nienawiści, roztacza niby ogniwa długiego łańcucha, męczarnie swęj niewoli, przymusowe mieszkanie z mordercami ojca, pogardę

którą znosić musi, prześladowanie jakie na jęj podłą szatę niewolniczą spada, a mianowicie widok mordercy obok *nędznej* matki w łożu Agamemnona.

Nienawistne imię Klytemnestry zawsze ze wstrętem wymawia dziewica. Niewiasta z czasów bohatérskich, nie zna niepewności Hamleta zawahanego pomiędzy krwawém wspomnieniem ojca, a resztą synowskiej miłości dla matki. Elektra otwarcie nienawidzi matki: topór który zabił jęj ojca, przeciął zarazem w jęj sercu wszystkie węzły natury. W rodzinie pierwotnej, matka stoi w drugim rzędzie: ojciec jęj bogiem, królem i pasterzem; w obec jęgo krwi przelanęj, wszyscy zabójcy są równi.

Jako przeciwstawienie niezłomnej Elektry, Sofokles stawia obok nięj siostrę Chrysotemis. Chciał on tym sposobem przymieszać nieco ludzkiej słabości do czystego marmuru, z którego wykuł swoją bohatérkę.

Klytemnestra zaniepokojna snem złowrogim, posyła młodszą córę z ofiarą na grób Agamemnona. Trwożliwa Chrysotemis zaklina Elektrę, żeby uległa losowi i milczała; ale ta oburza się, i srogimi rani ją wyrzuty: obwinia bojaźliwe dziecko o zdradę i odstępstwo, szydzi z jęj rad i strachów. Słuchając dyalogu dwóch siostr, rzekłbyś: orlica ostrym krzykiem odpowiadająca gruchaniu gołębiczy.

Opowiedziany przez Chrysotemis sen matki, ożywia nadzieje Elektry: czuje mściciela... Mściciel już nie daleko....

Wtém nadchodzi pyszna i cierpka Klytemnestra, dręczona w duszy straszném przeczuciem. Wyobraźnia jęj w gorączce, widzi już przybywającego Orestesa, uosobienie zemsty bogów.

Eschyles w „*Agamemnonie*” maluje Klytemnestrę z miedzianém czołem, bezwstydnie przyznającą się do zbrodni i pokazującą ludowi zbroczone krwią królewską dłonie. Sofokles więcęj po ludzku pojawiajczy żonę Agamemnona, każe jęj się usprawiedliwiać przed ujarzmioną córą. Ta, nie patrzy, ani słucha... chce się powściągnąć, ale serce jęj wybucha: wyrывa zeń wizerunek Oresta i przesuwa go przed oczyma przerażonej królowej, niby błyskawicę miecza. Uknuć matkobójstwo uchyla na chwilę maski i pa-

trzy na monarchinią krwawemi oczyma... Klytemnestra wyniosłym gestem zamyka córce usta.

Nastaje grobowe milczenie. Królowa idzie składać ofiarę Apollinowi. Przy posągu jego przyczajona Elektra podsłuchuje matczyne modły. Dla tego, Klytemnestra nie śmie głośno prosby swojej wyjawić bogu, tylko pocichu, dwuznacznemi słowy błaga go o śmierć syna. Ale tenże bóg, do którego występne zasyła prosby, przez usta wyroczni śmierć jej już zawyrokował. W téjże chwili, kiedy ona się modli, on śle ku niej Orestesa, syna i kata z mieczem w rękę. Tu poeta religijną szczytnością powlókł tragiczną grozę.

Kiedy mentor Oresta z jego rozkazu przynosi matce zmyśloną wiadomość jego skonu, Klytemnestra mniema, że prosba jej wysłuchana. Starzec po Pindarowsku opisuje śmierć Oresta obalonego z wozem, na igrzyskach delfickich. Obraz syna krwią zbroczonego, rozrzewnia na chwilę królowę: „Macierzyństwo, powiada, jest dziwną rzeczą: jakiebądź są winy dzieci, matka nienawidzieć ich nie może.” Ale wnet ten głos natury milknie w wyrodnej duszy. Klytemnestra cieszy się z śmierci Orestesa i urąga bolejącej Elektrze.

Elektra przywiedziona do rozpacz, postanawia w braku pomocy brata, sama zabić Egistę: na współnicę namawia sobie siostrę. Wojenne ody Tyrteusza nie są zapalniejsze od tego bohaterskiego pozwu, technącego miłością chwały, która była duszą Grecyi. Elektra chcąc namówić siostrę do rozpaczego czynu, ukazuje jej nie zdobyte berło, ani blask tronu, ale bohaterską palmę, marmurowe posągi stawiane wielkim mężom i oklaski wdzięcznego ludu. „Obywatel i cudzoziemiec wielbić nas będzie, mówi, ujrzawszy nas, zdumiony zawoła: oto dwie siostry, które ocaliły ród przodków, które z narażeniem życia, śmierć zadały możnym wrogom. Słuszną jest wielbić ich męstwo i odwagę, zasługują na miłość i szacunek powszechny.”

Podczas tych namów, przybywa Orestes w cudzoziemskim stroju, niosąc urnę zawierającą niby jego popioły. Elektra porywa ją, i przyciska do piersi, jakby głowę ukochaną zmarłego dziecięcia. Płacząc przemawia do tego grobu jak do kolebki. Orestes widząc jak go mocno

siostra żałuje, daje jęć się poznać... Okrzyk radości wyrzyna się z piersi siostry, ale wnet milknie, bo należy działać skrycie a szybko: brat zamyka jęć usta.

W żadnej tragedyi nie spotykaliśmy figury straszniejszej, jak ten spokojny matko-bójca: rzekłbyś, że to twór rzeźbiarza nie poety. Ponura jego pogoda nie zmienia się ani na chwilę. Kat fatalizmu zabija bez gniewu, spokojnie, jak ten na którym nie ciąży żadna odpowiedzialność; do pałacu, gdzie ma zamordować matkę, wchodzi jako nadziemski sprawiedliwiec, pokłoniwszy się w przedsiönku posągom bogów domowych. Niebawem, słyhać krzyki Klytemnestry wydzierającej się z pod synowskiego miecza... Ale Orestes milczy, głosu jego nie słyhać wcale: jako ofiarnik zabija w cichości. Elektra tylko, krwi głodna, jako furja wściekła podnieca brata do mordu: a jednak jęć wrzask mniej straszny od jego milczenia.

Sofokles, równie jak Eschyles, nie poważył się spełnić téj zbrodni na scenie. Prawo rzymskie zaszywało ojco-bójcę w worek: tragedia grecka zarzuca nań zawsze swe najgrubsze osłony.

Po Klytemnestrze przychodzi kolej na Egista; poeta uznając go niegodnym swojego pióra, przeprowadza go tylko przez scenę idącego na śmierć. Elektra podstępem wywodzi ojczyzna z pałacu: prowadzi go niby do przywiezionego ciała Oresta. Egistes pod całunem znajduje trupa Klytemnestry, a przed sobą spostrzega Orestesa z dymiącym jeszcze mieczem... „Uderz! woła Elektra. W imię bogów, uderz! i zostaw trupa drapieżnym ptakom i psom głodnym: to jedyny grobowiec, który jemu przystoi; to jedyna ulga moich długich boleści”.

To są ostatnie jęć słowa. Egistes popychany żelazem Orestesa, idzie na miejsce kaźni. Elektra milknie: dramatyczne jęć istnienie kończy się z istnieniem Klytemnestry i Egistes. Grecka Nemezys nie powinna przeżyć spełnionej zemsty...

„Jak puszczono topiąc żądło i serce z niem grzebie,

Tak ona duszę utopiła w”... piekle.

Płaczący posąg marmurowy: taką pozostaje w wyobraźni nieśmiertelna Elektra, bliźnia siostra skamieniającej Nioby.

---

Wyszła druga i ostatnia część *Historji ministerstwa Louvois* (Histoire de Louvois par Camille Rousset). Wiadomo jak wysoko krytycy paryzcy ocenili pierwszą część tego dzieła, które przez dwa lata otrzymywało wielką nagrodę Goberta od akademii francuzkiej. Takież pochwały pozyskają zapewne świeżo wydane dwa tomy, dopełniające ten ważny i ciekawy ustęp dziejów Francyi.

— Drugi numer *Autografu* dwutygodnika wydawanego przez pana Villemessant, zawiera między innemi dwa ciekawe dokumenta: List własnoręczny Napoleona Igo do Anglii, proszący to mocarstwo o przytułek „jako najpotężniejszego ze swoich nieprzyjaciół”, oraz *Marseillaise* napisaną własną ręką jej twórcy p. Rouget de Lisle.

— Wyszło już kilkanaście poszytów *Słownika francuzkiego* (Dictionnaire de la langue francaise) wydawanego u Hachetta przez pana Littré. Z każdym poszytem uznanie tego dzieła wzrasta: znawcy osądzili, iż to jest najwspanialszy pomnik, jaki wzniesiono językowi francuzkiemu, dzieło narodowe, w całym znaczeniu tego słowa.

— *Encyklopedia Powszechna* (Encyclopédie Universelle) wydawana przez księgarza Tandon, słusznie używa dobrej sławy. Jestto dzieło użyteczne i nauczające, a w dodatku tanie. Dzieli się na trzy części, z których każdą osobno nabyć można; działy zatytułowane jak następuje: *Dictionnaire Général de Biographie et d'Histoire; Des Lettres et des Beaux-Arts; Des sciences théoriques et appliquées*.

— Dziejopis Mignet wydał nowy tom *Pochwał historycznych* (Eloges historiques). Znajdujemy w tym tomie pochwałę Schellinga, Portalisa i historyków angielskich Macaulaya i Hallam'a.

— Pan Hipolit Castille pisze „*Historyą lat sześćdziesięciu*” (Histoire de soixante ans) w dziesięciu tomach. Są to dzieje Francyi od 1788 do 1848. Wyszedł już pierwszy tom tego dzieła, pod napisem „*Histoire de la Revolution francaise*”.

— Sprawozdanie z wyprawy chińskiej wyszło ułożone wedle dokumentów historycznych w drukarni cesar-

skiej, pod tytułem: „*Relation de l'expédition de Chine en 1860, rédigée par le lieutenant de vaisseau Pallu d'après les documents officiels*”.

— Ludwik Ratisbonne wykonawca testamentowy Alfreda de Vigny, wydał w jednym tonie jego dzieła pośmiertne, pod ogólnym tytułem *Les Destinées*. Dewiza téj książki wschodnia „Tak było napisano”. Jestto zbiór poemacików dość miłych, ale nie odznaczających się wszelako niczem nadzwyczajném. Książka, wedle wyraźnej woli zmarłego, wyszła bez żadnej przedmowy ani dopisków.

— Zjawił się do opróżnionego fotelu Alfreda de Vigny nowy kandydat: pan Wiktor Le Clerc, który prawdopodobnie zostanie przyjęty.

Pan Le Clerc członek Instytutu, był na przemiany professorem retoryki w liceum Charlemagne; następnie professorem wymowy łacińskiej w wydziale literatury; w końcu radcą Oświecenia publicznego. W 1834 obrano go członkiem Akademii Napisów. Ma to być znakomity tłumacz autorów łacińskich. Najciekawszym z dzieł jego jest studyum naukowe, pod napisem „*Des Journaux chez les Romains*”.

